



*„Czy to jest ta nowa niemiecka kultura?”
Ludzkie gesty w nieludzkich czasach*

Alfred Beier z Goslar był świadkiem budowy filii obozu koncentracyjnego Gross-Rosen w Kamiennej Górze. Przedstawia swoje wrażenia i odważne wypowiedzi matki Magarete Beier. Tekst ten ukazał się w jednej z gazet niemieckich w dniu 15 V 2005 r.

Mam 73 lata. Należę zatem do tych, których nazywa się ostatnimi świadkami czasu. Wymieramy już. Chcę spisać, co jeszcze wiem, co sam przeżyłem i widziałem. Do przedstawienia są rzeczy, które mnie dotknęły bardzo głęboko, których do dziś nie mogę do końca rozgryźć. To chyba jednak nie zmieni się aż do końca mojego życia.

Uczucie zbliżającego się końca wojny rozpoczęło się dla mnie w 1940 roku, pewnego bardzo pięknego majowego dnia. Szkoła była wcześniej zamknięta, ponieważ brakowało nauczycieli. Wracając do domu spotkałem swoją matkę. Zbliżyła się z naprzeciwka na rowerze, zsiadła z niego i powiedziała: „**Tato został powołany**”. Musiał iść do wojska.

Mama była w drodze do fabryki lnarskiej w **Kamiennej Górze**, w której pracował mój tato. Była wówczas w ciąży, o czym jeszcze nie wiedziałem. W sierpniu urodziła się moja siostra. Dwa dni później poszliśmy odprowadzić mojego tatę na dworzec kolejowy. Na pożegnanie rodzice pocałowali się, mama płakała, ja także, to było dla mnie przykre. Mój ojciec był bardzo kochanym człowiekiem, miałem z nim bliskie i serdeczne relacje.

Odejście mojego ojca zmieniło wszystko. Dopiero później zrozumiałem, że ten dzień oznaczał koniec rodziny i tym samym dla mnie początek końca wojny.

Pod koniec roku ojciec walczył na froncie wschodnim. Stamtąd udało mu się w 1942 roku przyjechać jeszcze raz do nas na 14 dni, potem nigdy więcej już go nie widziałem. W sierpniu 1944, dokładnie w dniu urodzin mojej siostry, przyszedł ostatni list. Ojciec był przez cały ten czas w Kiszyniowie nad Dniestrem. Nigdy więcej o nim nie usłyszeliśmy, nie było żadnej urzędowej informacji o miejscu jego pobytu.

W 1943 roku naprzeciwko naszego domu (zwykłego bloku mieszkalnego dla robotników), położonego nad brzegiem rzeki, rozpoczęły się prace budowlane, o których nikt nic nie wiedział. Wkrótce stało się jasne: powstawał obóz koncentracyjny, filia obozu Gross-Rosen.

Bardzo szybko pojawili się tam więźniowie, którzy pracowali w rozmieszczonych na terenie miasta zakładach zbrojeniowych. Na bramie obozu służbę pełnili żołnierze SS. Między nami – dziećmi a wartownikami z bramy zaczęły się rozwijać dyskusje, jednakże żadne przyjaźnie. Jeden z wartowników podarował mi nawet pióro wieczne, niezwykle cenny prezent jak na tamte czasy. Wydawało mi się również dziwne to, że wartownicy nigdy nie opowiadali o tym co się działo wewnątrz – za ogrodzeniem, nawet nam w czasie luźnych pogaduszek.

Aż pewnego dnia coś się wydarzyło. Okazało się, że kapo kazał jednemu z więźniów pchać łopatą wał usypany z ziemi. Było wówczas bardzo zimno, ziemia była zamrożona, a więzień musiał ściągnąć swoje ubranie. Jednak praca była nadaremna, pomimo wysiłku wał cofnął się do tyłu. Wszyscy więźniowie wyglądali jak nędznicy, byli wygłodzeni, wycieńczeni, niewiarygodnie chudzi ze zgolonymi i oszronionymi głowami.

Widziałem co się wydarzyło: więzień leżał goły na zamrożonej ziemi. Inny więzień na rozkaz przynosił zimną wodę z rzeki i polewał tego leżącego. Więzień musiał wstawać i kłaść się na przemian i wykonywać to ćwiczenie na rozkaz aż do odwołania. Ja z matką byliśmy świadkami tego wydarzenia, które miało miejsce nad brzegiem rzeki. Moja mama widząc to nie wytrzymała i głośno krzyknęła: „**Czy to jest ta nowa niemiecka kultura, którą tu do nas sprowadziliście?**” Nagle po tych słowach przerwane zostało to nikczemne widowisko. Nazajutrz przyszło wezwanie dla mojej matki, aby się stawiła na policję. Moja matka idąc na przesłuchanie wzięła ze sobą mnie oraz moją młodszą siostrę. Z tego przesłuchania niewiele wiedziałem i rozumiałem. Ze strachu nie mogłem nawet oddychać. Moja matka była bardzo rezolutną i odważną kobietą, a w czasie przesłuchania wybuchła gniewem. Tego się spodziewałem i obawiałem. Zdanie, które wówczas wypowiedziała, do dzisiaj dobrze pamiętam: „**Jeżeli wiedzielibym,**

że mojego męża ktoś tak traktuje – dostałby wyrok śmierci”. Po tych słowach nastąpiło milczenie, aż odezwał się urzędnik: „**Niech pani nigdy więcej tego nie mówi**”. Sądzę, że w tych dniach moja matka była jedną nogą za bramą tego obozu.

W tym czasie każdego poranka więźniowie byli coraz liczniej prowadzeni „**do roboty do szaniców i umocnień**”, tak to nazywano. Wieczorem wracali w kolumnach. Maszerowali po trzech w każdym rzędzie, a ci z zewnętrznych rzędów musieli podtrzymywać tych w środku, często ich po prostu nieśli ledwo żywych. Moja matka postanowiła ich w jakiś sposób wspomóc. Gotowała ziemniaki (których i dla nas często brakowało), ustawiała je pod oknami naszego domu, a gdy więźniowie wracali z ciężkich robót ukradkiem wciskała im je do rąk. Nie mogę tego zapomnieć, jak ci mężczyźni łapczywie je połykali. Tylko niektórzy mogli coś dostać, nie wszyscy. Moja matka pomagając więźniom, sama narażała siebie i nas na wielkie niebezpieczeństwo. Dużo ryzykowała i tylko cud sprawił, że ani jej, ani nam nic złego się nie stało.

Pod koniec kwietnia [stycznia – red.] miały miejsce wydarzenia, które trudno mi nawet opisać. Nocą przyjechał pociąg z dużym składem wagonów, a w nich byli więźniowie z Gross-Rosen [Oświęcimia – red.]. Wszyscy więźniowie zostali wpędzeni do tunelu. Wejście i wyjście do tunelu zostało otoczone strażnikami. Wieczorem przywieziono kubeł z jedzeniem. W pobliżu wejścia więźniowie zerwali przewód elektryczny tak, że większa część tunelu była pozbawiona prądu i z tego powodu jedzenie nie dotarło do wszystkich. Następnego ranka, a był to mroźny, zimny dzień, okazało się, że wielu więźniów nie mogło już samodzielnie wyjść z tunelu. Wielu z nich tej nocy zmarzło, a ich ciała wynoszono i układano na ulicy. Później przyprowadzono jakiegoś chłopa z wozem i ciała zmarłych wywożono na cmentarz żydowski. Tam wcześniej przygotowany został grób zbiorowy. Prawie wszyscy mieszkańcy miasta byli świadkami tego wydarzenia i w ciszy przyglądali się temu straszному widowisku. Niektórzy przerywali tę ciszę szemraniem o zmarłych, ale wartowniczką głośno skomentowała: „**To są wrogowie naszego narodu**”. Mojej matki przy tym nie było, ona już gotowała kartofle w dużym garnku do bielizny. Później rozdawała je głodnym i zmarzniętym więźniom. Była jedyną osobą, która im w ten sposób pomagała. Więźniowie siedzieli nad brzegiem rzeki. Widziałem ich nagich, a ten wstrząsający widok pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Swym wyglądem przypominali wygłodzone nędzne kreatury. Po południu więźniowie, którzy przeżyli zostali wywiezieni.

Następne wydarzenie miało miejsce 9 maja [1945 r. – red.]. W nocy usłyszeliśmy strzały karabinów. Skoro świt opuściliśmy swoje mieszkania i zebraliśmy się przed tunelem – wejściem do bunkra, aby się ukryć. Gdzieś około godziny 8 czy 9 rano wkroczyła do miasta Armia Czerwona. Wszędzie powiewały białe flagi. Najpierw było bardzo spokojnie, ale później dopiero się zaczęło to, co znamy z opowiadań: napady, mordy, plądrowania i gwałty. Przez pierwsze dni mieliśmy szczęście, jednakże po kilku dniach Anioł Stróż nas opuścił. Do naszego domu przyszli sowieccy żołnierze. Moja matka została brutalnie zgwałcona na moich oczach. W czerwcu musieliśmy opuścić nasze dotychczasowe mieszkanie. Od maja 1945 do maja 1946 roku przeżywaliliśmy straszny głód. Do dziś nie wiem, jak naszej matce udało się uchronić nas przed śmiercią głodową. Pamiętam, że pomagał nam ksiądz, który co tydzień dawał nam jeden bon na jeden kilogram chleba. To musiało starczyć nam na cały tydzień, na trzy osoby. W maju 1946 roku zostało wywieszzone obwieszczenie, że następnego dnia musimy opuścić nasze domostwa i udać się w towarowych wagonach w podróż na zachód. Po przybyciu na nowe miejsce, zostaliśmy skierowani do małej wsi w pobliżu Salzgitter, do domów innych osób. Gdy tam przybyliśmy w przydzielonym nam domu nikogo nie było. Wkrótce zjawił się właściciel, przeglądając nasze dokumenty i rzekł niezadowolony: „**Ale na pewno nie u mnie**”. Nie chciał nas przyjąć, chociaż mieliśmy nakaz administracyjny. Koczując przed tym domem zdaliśmy sobie sprawę, że tak naprawdę nie ma dla nas nigdzie miejsca.

Koniec wojny nastąpił dla mnie dużo później. Od Czerwonego Krzyża otrzymałem informację, że mój ojciec zmarł w jednym z obozów sowieckich w ostatnich dniach grudnia 1944 roku (krótco przed swoimi 37. urodzinami). Przyczyna śmierci nie została mi podana, jak również informacja o tym, gdzie znajduje się jego grób. Akta Paula Alfreda Beiera, urodzonego 31 grudnia 1907 roku, numer polowy 29467 A, zostały zamknięte.

Tłumaczenie i opracowanie: Agnieszka Adamek, kl. I b LO

Legenda o Górze Parkowej

Dawno, dawno temu, kiedy wielu naszych miast nie było jeszcze na mapie, żyły smoki. Jeden z nich osiadł na terenie, który nazywamy dziś Kamienną Górą i terroryzował okoliczną ludność.

Smok był okrutny. Porywał dzieci, niszczył pola, pożerał zwierzęta. Biedni wieśniacy nie wiedzieli jak pozbyć się intruza. Wzięli się jednak na sposób. Gdy smok pił wodę ze stawu, wpędzono do niego krowę – przysmak potwora. Ten, oczywiście rzucił się w pław w kierunku swojej ofiary, ale wbrew oczekiwaniom ludzi, nie utopił się.

Wieśniacy jednak na tym nie poprzestali. Gdy pewnego razu smok po sutym obżarstwie głęboko zasnął (a trzeba wam wiedzieć, że smoki śpią bardzo długo), zaczęli go szybko przysypywać tonami kamieni i ziemi. Kiedy w końcu stwór się zbudził, nie był w stanie ruszyć się i podnieść. Z braku powietrza zdechł. Pozostała po nim góra, zwana dziś Górą Parkową.

Jak mówi legenda, do brzucha smoka można dzisiaj wejść przez jedną z dziurek jego nosa, która nie została zasypana. Nie wiadomo tylko, dlaczego historycy wciąż upierają się, że jest to wlot do sztolni z czasów ostatniej wojny...

Paulina Skrzypek, kl. I b LO

Świadkowie najnowszej historii |3|

„ Jacyś ludzie w ucieczce przed jakimiś ludźmi. W jakimś kraju pod słońcem i niektórymi chmurami zostawiają za sobą jakieś swoje wszystko... ” – wyznania ludzi lat wojny, którym odebrano nadzieję. Mimo tego potrafili obudzić w sobie wolę wytrwania. Zmusili serce, nerwy, siły, by nie zawiodły, choćby od dawna czuli ich wyczerpanie. Oto jedna z takich historii...

Pani A.J. urodziła się w roku 1941 w Marianówce, powiat kostopolski (ZSRR, dzisiaj Ukraina). Od pewnego czasu mieszkali tam jej rodzice, pochodzący z powiatu nowosądeckiego, których przymusowo wysiedlono.

W 1943 roku rodzina pani A.J. zmuszona była do opuszczenia swojego miejsca zamieszkania ze względu na krążące pogłoski o zamiarze mordowania Polaków przez nacjonalistów ukraińskich. Ludzie w pośpiechu zabierali wszystko, co było możliwe z ich dorobku. Mieli na plecach dzbanki i tobotki. Im bardziej puste, tym z dnia na dzień cięższe. Przed nimi rozpościerała się „ jakaś wciąż nie tędy droga.” W zgietku słychać było „ czyjeś komuś chleba wydzieranie i czyjeś martwym dzieckiem potrąsanie”. W tym czasie panowała epidemia czerwonki. Dla niektórych nie było już ratunku. Nie było czasu na grzebanie ciał. Pozostawiano je bez należytego pochówku.

Pani A.J. jako dziecko dotarła z rodzicami na przymusowe roboty do wsi Lauterbach w Niemczech. Matka musiała pracować na roli, a ojca skierowano do innej miejscowości. Uczęszczała do niemieckiego przedszkola. Pamięta, że zarówno w przedszkolu , jak i w domu, w którym mieszkała, należało zaciemniać okna, aby nie sprowokować ataku przez alianckie lotnictwo.

W 1945 roku powróciła z matką do kraju, do Bydgoszczy. Za pośrednictwem Czerwonego Krzyża rozpoczęły poszukiwania ojca. Okazało się, że mieszka on na „Zachodzie”, a dokładnie w **Leszczyńcu** koło Kamiennej Góry. Wkrótce po tułaczce wojennej wszyscy się tutaj spotkali i rozpoczęli swoje życie.

Około 1970 roku pani A.J. z mężem i dziećmi kupili dom w **Ogorzelcu**. W tej miejscowości mieszka do dziś.

Swoje wspomnienia przedstawił również **pan Stanisław**, który urodził się w 1924 roku w Żeleźnikowej.

Do siódmego roku życia wychował się przy mamie, następnie poszedł do szkoły, znajdującej się w tej samej miejscowości. Uczęszczał do niej przez cztery lata. Po tym czasie zaczął „wagarować”. Pracował przy wypasie krów. Gdy miał 15 lat wybuchła II wojna światowa. Musiał ukrywać się, ponieważ Niemcy rozpoczęli wywożenie młodych ludzi na przymusowe roboty do III Rzeszy.

W 1942 roku pan Stanisław musiał podjąć pracę w zakładzie „ Bałdyst” w Nowym Sączu.

- Chodziliśmy głodni, było bardzo ciężko – wspomina. – W 1944 roku postanowiliśmy z kolegami, że nie będziemy dłużej pracować dla Niemców. Noce, dla hitlerowców czas łapanek, spędzaliśmy w lasach. Nie można tego nazwać partyzantką, bo nie mieliśmy żadnego dowódcy. Był to jednak przejaw naszego buntu.

W Nowym Sączu było dużo Żydów. Pan Stanisław ma w pamięci obraz, jak ich wywożono. – Żydów brutalnie bito przy załadunku do bydłych wagonów. Wielu z nich ginęło już na stacji kolejowej – opowiada. – Słyszałem, straszne krzyki ludzi, płacz dzieci i kobiet. To było przerażające. Pamiętam, że jeden Żyd ukrywał się w naszej wsi, ale mieszkańcy ze względu na groźbę śmierci balili się mu pomóc.

Panu Stanisławowi udało się przetrwać ten trudny okres.

Po zakończeniu wojny odsłużył dwa lata w wojsku. W listopadzie 1948 roku przyjechał z Nowego Sącza **do Rędzin** koło Kamiennej Góry. Pociąg jechał ponad tydzień. Ludzie tłoczyli się w wagonach i głodowali. Każdy myślał tylko o sobie. Byli obojętni na widok umierających wokół nich ludzi. Tego nauczyła ich wojna. Zapomnieli o wartościach moralnych.

W Rędzinach panu Stanisławowi przydzielono gospodarstwo rolne. Praca na górskiej roli była ciężka i nie dawała wystarczających dochodów. Podjął więc dodatkową pracę w pobliskim kamieniołomie dolomitu. Po 1980 roku przeszedł na emeryturę. Mimo podeszłego już wieku dalej prowadzi z żoną gospodarzę.

Helena, żona pana Stanisława, tak podsumuje ich życie: „Było źle, to było. Teraz jest trochę lepiej, więc zapominamy o złym”.

Takie przeżycia diametralnie zmieniają postawy i postrzeganie świata przez ludzi. Lepiej i mądrzej patrzą na zdarzenia wokół nich. Potrafią docenić to, co daje im los. Zdobyte doświadczenia pozwalają cieszyć się niuansami chwili, widzą i słyszą więcej.

„Uczę się Ciebie człowieku i wciąż cię jeszcze nie umiem, ale twe ranne wesele, twą troskę wieczorną – rozumiem...” – czyli jak po trudnej tułaczce ludzie odnajdują swoje miejsce na Ziemi.

Stanisław M. urodził się 30 maja 1927 roku w Kamionce Wielkiej w powiecie nowosądeckim.

„Wśród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju, na pagórku niewielkim, w brzozowym gaju, stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany. Świeciły się z daleka pobielane ściany”. Tak dworek szlachecki opisał nasz wieszcz narodowy – **Adam Mickiewicz** – w swojej epopei.

W podobnym domu mieszkał pan Stanisław i sześcioro jego rodzeństwa. Drewnianą budowlę wznosił jego ojciec – Wojciech. Dom był podmurowany, kryty dachówką, dwuizbowy, z sienią i przelotową kuchnią. Wejście znajdowało się od północy na stronie południowej była weranda. W wieku siedmiu lat pan Stanisław poszedł do sześcioklasowej szkoły w Kamionce Wielkiej, którą ukończył w 1940 roku. Później, aby uniknąć wywózki na roboty w głąb Niemiec, zatrudnił się jako młodociany robotnik na kolei.

Po wojnie wyjechał z rodzicami do województwa poznańskiego, gdzie jego ojciec dostał gospodarstwo rolne. W 1948 roku pan Stanisław otrzymał powołanie do odbycia służby wojskowej. Służył w artylerii lekkiej, ukończył szkołę podoficerską w stopniu kaprala. W roku 1950 wyjechał na Dolny Śląsk. Osiedlił się w Krzeszowie, gdzie wcześniej przybył jego brat. Zatrudnienie znalazł w straży przemysłowej w Kamiennej Górze, a następnie w Ośrodku Maszynowo – Rolniczym. W 1955 roku rozpoczął pracę w kopalni uranu w **Okrzeszynie**, która objęta była ścisłą tajemnicą wojskową i oznaczona kryptonimem R-1. Pan Stanisław pamięta, że urobek wywożono w blaszanych pojemnikach. Kadre kierowniczą stanowili Rosjanie. Uran z Okrzeszyna, podobnie jak i z kopalni w Kowarach, wywożono do ZSRR w celu wykorzystania do produkcji broni atomowej. Po jej zamknięciu na początku lat 60. XX wieku pracował w Przedsiębiorstwie Budownictwa Wodno-Inżynierskiego na stanowisku brygadzysty. Jego brygada wykonywała inwestycje w okręgu kamiennogórskim. Stawiali mury oporowe nad Zadrną i Bobrem w Kamiennej Górze, pracowali nad Zalewem. Ich dziełem są m.in. dwa mosty w **Miskowicach**, schody wodne w **Jawiszowie** i wiele innych budowli. Od 1987 roku pan Stanisław przebywa na emeryturze.

Jednym z najważniejszych centrów włókiennictwa w Polsce był okręg kamiennogórski., w którym przemysł Iniański od kilku stuleci decydował o obliczu gospodarczym tego regionu. Oto wyznania jednej z pracownic przedsiębiorstwa tej branży.

W styczniu 1950 roku rozpoczęłam pracę w **Marciszowie**, gdzie znajdował się oddział kamiennogórskiego „Lnu”. Tutaj przepracowałam 14 lat, a potem przeniostałam się do Kamiennej Góry. Praca w zakładzie nie należała do lekkich, ale gdy ktoś był dobrym pracownikiem, czyli sumiennie i skrupulatnie wykonywał plan, to mógł liczyć na uznanie dyrekcji w postaci premii lub wyróżnień. Do pracy musiałam wstawać o trzeciej nad ranem, aby na czas dojechać do Marciszowa pociągami z Gorc.

Praca w tamtych latach umożliwiała korzystanie z opieki socjalnej. Dzieci wyjeżdżały na kolonie letnie, organizowano różne imprezy, np. zabawy mikołajkowe. Zapewniano także opiekę medyczną. Gabinety lekarskie znajdowały się na terenie zakładu, więc w każdej chwili można było z nich skorzystać. Działy także związki zawodowe, do których pracownik mógł zwrócić się o pomoc. Była to odmienna sytuacja w odniesieniu do czasów współczesnych, w których każdy musi radzić sobie sam.

Pan Józef T. urodził się 21 stycznia 1928 r. w Zagorzynie, powiat nowosądecki. Gdy wybuchła II wojna światowa uczęszczał do piątej klasy szkoły podstawowej. W czasie okupacji – wspomina – Niemcy robili obławy i łapanki. Wielu jego znajomych i sąsiadów zostało przez Niemców wywiezionych na przymusowe roboty do III Rzeszy. Wśród nich był także brat pana Józefa. Aby nie podzielić losu brata ukrywał się przed nieprzyjacielem. Latem wraz z przyjaciółmi w lesie, zimą zaś na strychu lub w oborniku. Gospodarski nawóz organiczny gwarantował ciepło, a przede wszystkim leżąc na nim przykryty kocem i śniegiem miał szansę przetrwać najgorsze chwile.

W czasie wojny bardzo silnie rozwinęła się partyzantka. Gdy partyzanci zabili jednego Niemca, to okupanci w odwecie mordowali dziesięciu Polaków, czego pan Józef był świadkiem. Hitlerowcy przybywając do wsi zabierali chłopom wszystko: kartofle, mąkę, zboże, kury, jaja a nawet ostatnią krowę, która zapewniała ich rodzinom przetrwanie. Środków do życia pozbawiona została również rodzina pana Józefa. Był to dla niego niezwykle ciężki okres życia, jednakże cieszył się z najbliższymi mu ludźmi, że nie zabrano im najważniejszego – życia.

W 1943 roku pracował koło Starego Sącza przy budowie okopów. Miał więc okazję obserwować i liczyć Niemców. Zdobyte informacje przekazywał ruchowi oporu. Pan Józef pamięta, że w pobliskiej miejscowości znajdowała się fabryka mebli, w której stacjonowało około 160 Niemców. W pewną

burzliwą noc dziewięciu partyzantów przebranych za niemieckich żołnierzy przez zaskoczenie rozbroiło przebywających tam hitlerowców i puszczono ich tylko w samych kalesonach i butach.

W 1944 roku złapano podczas obławy 16-letniego wówczas pana Józefa. Kazano mu rozładowywać ziemniaki. Zmęczony i głodny nie robił tego w tak szybkim tempie, jak powinien. Rozzłoszczony wojskowy Ukrainiec postawił go pod ścianą, naładował swój karabin i już miał pozbawić młodzieńca życia. Na szczęście niemiecki oficer wstrzymał wykonanie tej egzekucji, ratując w ten sposób życie panu Józefowi.

W czasie wojny w jego domu częstym „gościem” był świerzb, a także tyfus i czerwonka. Choroby te ominęły tylko jego z całej rodziny.

Pod koniec maja 1945 roku pan Józef wraz z rodziną przybył **do Pisarzowic**. Jego ojciec otrzymał tam od państwa gospodarstwo wraz z 10 ha ziemi. Zaraz po wojnie w lasach na terenie Pisarzowic znalazł wiele granatów, rakiet, karabinów oraz radioodbiorników. Od ponad 61 lat mieszka w tej samej wsi.

OPRACOWAŁA: Magdalena Łabuda – kl. I b LO – na podstawie tekstów Joanny Jurkowskiej – kl. I b LO, Moniki Bijak – kl. I b LO, Krystiana Michalika – kl. I a LO, Roberta Makucha – kl. I b LO i Agnieszki Adamek – kl. I b LO.

O niezwyklej pomocy, czyli kto przegonił Szwedów z Krzeszowa (legenda)

Poranną ciszę w opactwie cystersów krzeszowskich przerwała nagle salwa z muszkietów. Na krużganku klasztornym rozległ się stukot sandałów, a następnie głośnie uderzenia pięścią w drzwi. Po ich otwarciu do celi wpadł zziębnięty zakonnik Maciej.

- Co się stało, bracie ?
- Ojciec Walenty, brat Henryk i czterej wieśniacy nie żyją. Przed chwilą był tu szwedzki zwiad.
- Szwedy idą – pomyślał opat Walenty, szybko narzucając czarną kukullę na habit.
- Zebrać wszystkich braci w kościele św. Jana, a brat Adam niech szybko zwoła wieśniaków na dziedzińcu klasztornym. Z Bogiem, bracie Macieju.
- Z Bogiem.

Brat Adam nie miał łatwego zadania, ale dość sprawnie zgromadził mieszkańców wsi. Kobiety z dziećmi znalazły schronienie w świątyni. Mężczyźni, potrafiący obsługiwać muszkiety, ulokowali się w młynie, wystawiając lufy przez niewielkie okiennice. Pozostali ukryli się w zaroślach nad Młynówką i Zadną. Uzbrojeni byli tylko w widły, cepy, noże myśliwskie i kosy osadzone na sztorc.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny, jak od strony Grząd wyłoniła się z lasu szwedzka piechota w charakterystycznych kapeluszach na głowach z szerokim rondem. Wkrótce ustawili się w dwóch rzędach, umocowali muszkiety na żelaznych podstawkach i zamarli w bezruchu. Zapadła cisza.

Nagle od południa słychać rżenie koni i szczęk białej broni. Potworny huk przeszywa powietrze. Szwedzcy dragoni, ubrani w kolety ze skóry łososiowej, wpadają na koniach do ogrodu klasztornego. Rozbijając szyby, wrzucają pochodnie do biblioteki cystersów. Płoną bezcenne manuskrypty. Plądrują opactwo i wznecają kolejne pożary. Przerażeni mnisi uciekają z kościoła. Szwedzka piechota otwiera ogień. Rozlegają się krzyki rannych i poparzonych. Napastnicy nie oszczędzają kobiet i dzieci. Celnymi trafieniami popisują się obrońcy młyna, ale kończy się im już proch...

Opat Walenty wbiega do kaplicy i pada na kolana przed wizerunkiem Madonny z Dzieciątkiem.

- O matczko kochana ! Ratuj swój biedny lud przed tymi diabłami !

Prośba została wysłuchana. Opat po wyjściu z kaplicy wznosi wzrok ku niebu i widzi Maryję wśród dymu, która na opactwo zsyła siedmiu archaniołów. Archanioł Rafael, w brązowej szacie z kijem podróżnym, wraz z Gabrielem, trzymającym lilię, pojawili się na dachu kaplicy mariackiej. Sealthiel i Barachiel zstąpili na kościół św. Andrzeja, a Jehudiel i Ariel zatrzymali się nad młynem. Wreszcie, niczym strzała, ku szwedzkim dragonom leci archanioł Michael. Ubrany w złocisty pancerz i z mieczem w ręku sieje zamęt wśród napastników. Jeźdźcy uciekają na widok niebiańskiej istoty, a piechurzy rozpoczynają odwrót. W tym momencie krzeszowscy chłopcy wybiegają z zarośli, czyniąc spustoszenie wśród przerażonych Szwedów...

W opactwie zapanowała radość ze zwycięstwa. Niebiosom dziękowano za interwencję. W tej wojnie, którą potomni nazwali 30-letnią, obce wojska już nie pojawiły się w krzeszowskim klasztorze cystersów.

Krystian Michalik, kl. I a LO

Wojenna poetka

„*Ten wiersz jest żyłką słoneczną na ścianie jak fotografia wszystkich wiosen...*” – czyli o tym, że choć nie wszyscy lubią poezję, dla nielicznych staje się ona wiarą, nadzieją i miłością, nadając sens ich egzystencji...

Pani Maria urodziła się 12 marca 1928 roku w Zagorzynie w powiecie nowosądeckim. Pochodzi z rodziny rolniczej. Była najstarsza z czworga rodzeństwa. Do szkoły powszechnej uczęszczała w Łącku, miejscowości oddalonej o kilka kilometrów od jej domu. Wyróżniła się elokwencją i czytaniem, co w latach II wojny światowej zaowocowało ułożeniem przez nią kilkunastu wierszy przejmujących realizmem opisywanych zdarzeń.

Gdy rozpoczęła się II wojna, we wsi organizowano łapanki, ponieważ w Niemczech potrzebowano siły roboczej. Pani Maria ukrywała się z braćmi w lesie, by uniknąć rozłąki z rodziną.

W jej pamięci zachowały się obrazy kołujących na niebie samolotów i przejeżdżających tuż pod oknami czołgów. Mimo trudnej sytuacji w jakiej się znalazła, będąc osobą młodą, postanowiła za wszelką cenę przetrwać. Swoje przeżycia uwieczniła w poezji. Przytaczam jeden wiersz o bardzo znamienym tytule:

Strachem się oddychało

Nastała druga męka

W miesiącu grudniu po świętach

Zajechali wczesnym rankiem

By złapać ludzi na spaniu

Lecz chłopci się ukryli

W kłoszulkach pouciekali

A Niemcy swoje zrobili

Zakładników z nas zrobili

Na pół się rozdzielili

Zabrali tam matkę miłą

I stworzenie jakże było

Powietrza nam brakowało

Strachem się oddychało

Oto świadectwo prawdy o wojnie, jakie pozostawiła ta wyjątkowa kobieta. Jest ono cennym wspomnieniem, które powinniśmy pielęgnować i ocalić od zapomnienia.

W grudniu 1947 roku pani Maria opuściła rodzinny dom i wyruszyła na Ziemię Odzyskaną, a dokładnie do Mieroszowa, gdzie wcześniej dotarł jej brat. To właśnie wtedy poznała swojego

przyszłego męża. Pobrali się i osiedlili na gospodarce, którą otrzymali w darowiźnie. Do tej pory tam mieszkają i czasem otwierają walizkę wspomnień, którą noszą w sobie niczym „depozyt czekający na spóźnionego właściciela”, a w niej mieści się esencja przemijania.

Magdalena Łabuda, kl. I b LO

Glupota nie zwalnia od myślenia, czyli o (nie) zwykłych wypadkach w historii zakładu „Len”

Czy zakład może zastąpić ojca ?

Pierwsze zdarzenie miało miejsce na oddziale zwanym „Wiśła”. Pewna pracownica odnosiła próbki materiałów do tzw. studni. W trakcie ich chowania została w okrutny sposób wykorzystana. W efekcie kobieta zaszła w ciążę. Sprawcy nie ustalono. Kolejny przypadek miał miejsce w oddziale „Arado” (tkalnia). Jedna z kobiet wyносиła odpady do zsyków śmieci. Na swoje nieszczęście utknęła tam na pewien czas. Jak w przypadku pierwszej ofiary także i w tym sprawa zakończyła się nieplanowanym dzieckiem. W obu zajściach zakład został zmuszony na drodze sądowej do wypłacania alimentów.

Zabiła go rutyna

Główny elektryk miał za zadanie przyuczyć młodszych pracowników. W trakcie pokazywania w jaki sposób należy naprawić główne zasilanie prądu (a robił to nie pierwszy raz), zapomniał o sprawie oczywistej, a mianowicie o wyłączeniu prądu. Skutki okazały się tragiczne.

Chciał przeskoczyć Ziemię! Zatrzymał go tylko stopień horyzontu...

To tragiczne w skutkach zdarzenie miało miejsce jakieś 2-3 lata temu. Na popołudniowej zmianie kilku pracowników urządziło sobie libację mocno zakrapianą alkoholem. Po zakończeniu „pracy” wszyscy opuścili zakład, rak bynajmniej myślał portier, który zamykał szatnię. Niestety, jeden z nietrzeźwych pracowników pozostał sam w zamkniętym pomieszczeniu na drugim piętrze. Po przebudzeniu z amoku alkoholowego postanowił czym prędzej opuścić zakład. Jednak jedyną drogą wyjścia okazało się okno. Nie zastanawiając się długo pracownik wyskoczył przez nie. Do końca życia pozostał inwalidą.

Nigdy nie bądź pewien niczego do końca...

Pracownicy dla zabawy zamknęli swojego kolegę (ślusarza) w jednym pomieszczeniu ze sprzętaczką. Po niespełna dwóch minutach wypuścili oboje zmieszanych, gdyż w pobliżu pojawiła się pani kierownik. I tu właśnie sprawa powinna zakończyć się. Ale nikt nie przewidział, że z głupiego żartu zrobi się afera. Na drugi dzień kobieta nie przyszła do pracy, usprawiedliwiając się zwolnieniem lekarskim. Natomiast mężczyznę, z którym została zamknięta, oskarżyła o gwałt. Wyszło także na jaw, że domniemana „ofiara” zaszła w ciążę. Naturalnie za ojca dziecka podała nieszczęsnego ślusarza i zażądała alimentów. Pracownik ten został zawieszony w pracy i stracił zaufanie swojej żony. Dopiero w sądzie sprawę ostatecznie rozstrzygnięto. Okazało się, że stan zaawansowania ciąży wskazuje, że ojcem dziecka nie może być mężczyzna przez nią podany. Pracownika oczyszczono z zarzutu, a kobieta do tej pory nie wie kto jest ojcem jej dziecka.

Joanna Bielak, kl. I b LO

Nieświadomy striptiz dla ubogich ?

W jednym z mieszkań w budynku przy ulicy Legnickiej 1 w Kamiennej Górze mieściły się przed wojną łaźnie. Po wielu latach, remontując mieszkanie, lokatorzy natknęli się na tajemnicze urządzenie. W ścianie odgradzającej pomieszczenie z wanną od holu, tkwiła mała, zardzewiała klapka. Przykrywała ona szybką zasłaniającą z kolei mały otworek, z którego był widok na wannę! Po drugiej stronie ściana obłożona była kafelkami i w miejscu, gdzie otworek miał swój wylot, nie było kawałka fugi. Uszczerbek był jednak tak mały, że nie zwracał uwagi żadnej kąpiącej się w tym pomieszczeniu osoby, a właściciel łaźni miał codziennie „darmowe przedstawienie” i można się tylko domyślać, czy za stosowną opłatą nie udostępniał wizerunku innym „widzom”.

Paulina Skrzypek, kl. I b LO

Brali co ich, czyli z nieoficjalnej historii „Lnu”

W związku z likwidacją zakładu „Len” S.A. postanowiłam porozmawiać z jedną z kobiet, która pracowała w tej firmie jako tkaczka.

Pani A.K. opowiedziała mi o kilku „ciekawych” sposobach wynoszenia z zakładu nici i ścierek.

Ze względu na fakt, iż przy wychodzeniu z pracy trzeba było przejść kontrolę (sprawdzano zakupy, kieszenie, itp.), więc, aby wynieść cokolwiek, pracownice uciekały się do nielada sztuczek. Małe lniane ściereczki wynoszono w stanikach, ponieważ łatwo się w nich mieściły. Wykorzystywano też inną „kryjówkę” dla ściereczek, a mianowicie kobiety zakładały je jako... podpaskę. Większe partie materiału pracownicy owijali... wokół nóg i brzucha. Tę technikę praktykowano w zimie, ponieważ portierzy sprawdzając wychodzących pracowników nie byli w stanie wyczuć przez grube ubranie, czy coś jest pod nim ukryte.

Nici wynoszono w „ciekawszy” sposób. Kobiety w zimie celowo nosiły do pracy kozaki na wysokim obcasie, ponieważ przed wyjściem do domu ściągaly fleki i upychały nici w obcasach.

– Nie dziw się nam, że kradłyśmy- mówi pani A.K. – Czasem zdarzało się, że przez kilka miesięcy nie dostawałyśmy pensji lub płacono nam grosze i to był gest naszej wściekłości. Nasz szef w wywiadach łągał, że nam płaci, i że wszystko jest dobrze, ale prawda była inna. Ja np. wypłaty dostawałam w ratach. Nawet odprawy nie wypłacono mi w całości, tylko w częściach. To było oczywiste, że „Len” w końcu upadnie.

Paulina Skrzypek, kl. I b LO

Jak szybko i łatwo zyskać – rzecz o obrocie pieniądza

Chiny – Kamienna Góra – Ikea

Zakład „Len” S.A. przyjmował duże zamówienia, np. na partie zasłon, tkanin leżakowych dla firmy Ikea. Kontrakty spisywano na wyroby pierwszego gatunku. Jednak kamiennogórski „Len”, aby wywiązać się z umowy jak najtańszym kosztem, sprowadzał gorsze gatunkowo materiały z Chin. Tak więc całe zamówienie wykonywane było w Chinach, a pracownicy zakładu „Len” mieli za zadanie... zamaskować prawdziwą jakość wyrobu. Praca ta polegała na tym, że wszystkie defekty (np. odbiegające kolorem nitki od deseni) tuszowano przez zamalowanie... flamastrem lub kredką!

Księgowa – kierownik – prezes

Mimo, że „Len” upadł, wiele spraw tego zakładu pozostało nierozstrzygniętych. Tak jest i z tą aferą. Księgowa, kierownik i prezes w imieniu firmy kupowali partię przędzy za np. 5 tys. zł i płacili pieniędzmi zakładowymi. Następnie produkt ten sprzedawali... swojemu przedsiębiorstwu za identyczną cenę! W ten sposób „Len” S.A. kupował dwa razy tę samą przędzę, tylko, że pieniądze z drugiej transakcji wędrowały do kieszeni osób wcześniej wymienionych.

Fikcyjne stanowiska (?)

Głośnym echem odbiła się sprawa tzw. fikcyjnych stanowisk. W związku z likwidacją etatów pracowników zwalniano. Jednak już po miesiącu na te stanowiska przyjmowano nowe osoby! Nie wiadomo, jakie korzyści mógł mieć „Len” S.A. z faktu zatrudnienia ludzi, których trzeba było przeszkolić. Być może w grę wchodziło pobieranie pieniędzy... Część pracowników, którzy w wyniku takiej „likwidacji” stracili pracę, oddała sprawę do sądu. Zakończyła się ona ich wygraną i odszkodowaniami pieniężnymi.

Joanna Bielak, kl. I b LO

Redakcja: mgr Jan Lubieniecki – opiekun i redaktor prowadzący
Zbyszek Suchecki i Damian Babiarz z kl. II d LO – skład komputerowy